

Rzeka narracji. O *Lali* Jacka Dehnela

Otwierając debiutancką powieść Jacka Dehnela *Lala*, czytelnik wystawia się na nie lada niebezpieczeństwo; oto może go zniecacka porwać wartka rzeka narracji, unieść gdzieś daleko głównym nurtem, zakręcić nim kilkakrotnie w jakiejś bocznej, dygresyjnej odnodze, po czym wyrzucić oszołomionego na nieznaną mu brzeg w Morawicy, Lisowie czy Gdańsku-Oliwie.

Jacek Dehnel (ur. 1980 w Gdańsku) dał się już poznać jako autor trzech książek poetyckich: *Żywoty równoległe* (2004), *Wyprawa na południe* (2005), *Wiersze* (2006) oraz zbioru opowiadań *Kolekcja* (1999). W 2005 roku został uhonorowany Nagrodą im. Kościelskich i najwyraźniej nie spoczął na laurach. Jako swój debiut powieściowy przedstawił nam dzieło krwiste, barwne i wciągające.

Tytułowa *Lala* to babcia autora, Helena, kobieta, której przyszło żyć w ciekawych czasach. Jako niezrównana gawędziarka jest pozornie niewyczerpanym źródłem anegdot z własnej i cudzej przeszłości. Ani jej wnuk, ani jego goście, ani sprzedawczynie czy sąsiadki nie mają najmniejszych szans w starciu z „wielką narracją”, której babcia jest i szafarką, i najwyższą kapłanką. Jej ofiarą pada też czytelnik, bo *Lala* to książka z gatunku tych, przy których godziny mijają, a człowiek obiecuje sobie: „Jeszcze tylko kawałeczek”. Bo jak tu kończyć lekturę, gdy można z pierwszej ręki się dowiedzieć, co zrobić, kiedy do domu wkroczy obce wojsko („wrzeszczeć, tylko stanowczo, a nie histerycznie”), co Gałczyński zrobił z zakochaną w nim poetessą, która o srebrnej Natalii powiedziała „kura domowa”, na co zwraca uwagę literat, kupując w czasie wojny krowę, oraz jak rozpoznać japońskiego szpiega.

Niestety, źródło tych dykteryjek jest tylko z pozoru niewyczerpane. Z czasem opowieść zaczyna się rwać, narratorka zapomina szczegółów, myli osoby i fakty. Rzeka przestaje płynąć, grozi jej wyschnięcie i zapomnienie. Rozpada się narracja, kończy się człowiek. Czytamy:

„Kiedy tak siedzi jak stara chińska cesarzowa, niepomna władzy ani powinności, (...) trudno ją połączyć z naszą pamięcią, w której nie ma miejsca na wycieranie nosa, pampersy i ciągle milczenie”¹.

Bo książka Dehnela to nie tylko zbiór fascynujących anegdot, to także, a może przede wszystkim, opowieść o odchodzeniu. O trwaniu w oczekiwaniu na śmierć, o zniedołężnieniu – fizycznym i umysłowym, o tym wszystkim, o czym nasza kultura próbuje zapomnieć, co stara się zagłuszyć i zepchnąć poza obręb świadomości. Jest więc *Lala* rodzajem autoterapii, oswajaniem śmierci, a także próbą jej pokonania w jedyny dostępny nam sposób – dzięki ocaleniu pamięci. Gawędziarka zamilkła, ale ma godnego następcę. Dehnel spłaca dług wdzięczności, pisze tę książkę niejako w imieniu babci, która zarzuciła spisywanie swojej historii, by niańczyć wnuka.

Nie mniej ważne jest to, że tą książką pisarz rozprawia się z pytaniem: „skąd przychodzimy”. I klarowności odpowiedzi spora część czytelników może mu chyba pozazdrościć. Jego świadomość własnych korzeni sięga czterech pokoleń wstecz; wszystkie perypetie przodków, wszystkie miłości, zdrady, złote interesy i bankructwa przetrwały w babcinej wielkiej narracji. Co więcej, ślady owych przodków są bardziej namacalne. Dzieciństwo Jacka Dehnela upłynęło w swoistej Arkadii, za kutym ogrodzeniem oliwskiego ogrodu, pośród śladów przeszłości:

„Taki dom, takie życie pełne nieżywych. I wszyscy prawie na fotografiach, i wszyscy w rzeczach i pamiątkach”².

¹ J. Dehnel, *Lala*, Warszawa 2006, s. 5.

²Ibidem, s. 165.

Babcia dała mu zresztą nie tylko poczucie własnych korzeni, ale też świadomość zakorzenienia w kulturze europejskiej, z której dziedzictwem młody Dehnel zapoznał się, będąc nieledwie w powijakach. I choć mądrości wygłaszane z wyżyn dwudziestosześcioletniego doświadczenia życiowego mogą być miejscami irytujące, trudno oprzeć się wrażeniu, że autor ma do nich pełne prawo, że istotnie stoi za nim mądrość pokoleń.

Dehnel więc, o sobie prawie nie wspominając, pisze właściwie autobiografię. Autobiografię w duchu hellingerowskim. Ostatni rozdział brzmi:

„I tak całość się wypełnia. Właśnie się rodzę. I kończę książkę. Zresztą, jeśli mam być szczery, wszystko to się i tak działo naraz – i nawet teraz, kiedy już za chwilę zamkniecie okładki, woźnica na Ukrainie odwraca głowę od wielkich renklod, które same pchają mu się w usta, i mówi: >>Nie ja sadiłem, nie ja będę jadł<<. A słońce wschodzi na wschodzie, na zachodzie zachodząc”³.

Hołd przodkom został złożony. Teraz można już bez przeszkód snuć własną opowieść.

³Ibidem, s. 403.